

Aleksandra Kajdańska, Edward Kajdański, *Jedwab. Szlakami dżonek i karawan*, Książka i Wiedza, Warszawa 2007, ss. 528

Książka autorskiego duetu Aleksandry i Edwarda Kajdańskich daje czytelnikowi znacznie więcej, niż zapowiada jej tytuł. To obszerne, piękne edytorsko wydawnictwo dotyczy bowiem nie tylko jedwabiu, a nawet nie tylko Jedwabnego Szlaku, ale stanowi swoiste kompendium wiadomości o przepływie dóbr materialnych i duchowych pomiędzy cywilizacjami Wschodu i Zachodu, których nośnikiem i pośrednikiem były ludy zamieszkujące rozległe azjatyckie obszary, oddzielające Chiny od Europy. Przypominając, że Jedwabny Szlak był tak naprawdę systemem tras karawanowych rozgałęziających się na kilka odnóg, z których część przechodziła w szlaki morskie (zob. zwłaszcza rozdział 4 pt. *Jedwabne szlaki*), Autorzy podejmują próbę odtworzenia świata istniejącego przez stulecia wzdłuż tych dróg – państw, ludów, plemion i ich kultur – oraz wzajemnych powiązań i relacji, tworzących się poprzez stosunki handlowe.

Całość narracji rozpięta jest pomiędzy trzecim tysiącleciem p.n.e., kiedy to według świadectw archeologicznych w Chinach wytwarzano już jedwab, a wiekiem XX n.e., gdy jedwabne tkaniny stały się po raz kolejny inspiracją

dla europejskich kreatorów mody. Sięgając po teksty źródłowe – europejskie (od Starego Testamentu, przez pisarzy antycznych, po relacje średniowiecznych i nowożytnych podróżników) oraz chińskie, Autorzy zapraszają czytelnika w wielokrotną podróż przez azjatyckie stopy, góry i pustynie, w której rolę przewodnika raz będzie odgrywał Marco Polo, kiedy indziej Nearchos – jeden z oficerów Aleksandra Wielkiego, albo Zhang Qian, który na polecenie cesarza Wudi w II wieku p.n.e. odbył wyprawę na Zachód i jako pierwszy opowiedział Chińczykom o istnieniu Persji i cesarstwa rzymskiego, czy papieski emisariusz franciszkanin Jan di Piano Carpini z towarzyszącym mu Benedyktem Polakiem, a nawet arabski podróżnik Ibn Battuta. Wielokrotnie na kartach książki pojawia się również ulubiony bohater Edwarda Kajdańskiego – polski jezuita Michał Boym, który w XVII wieku trzykrotnie odbył podróż między Europą i Chinami (dwa razy drogą morską, raz lądową) i dzięki swoim traktatom medycznym, botanicznym i geograficznym poszerzył wiedzę Europejczyków o Państwie Środka.

Wraz z podróżnikami, kupcami czy misjonarzami pomiędzy Wschodem i Zachodem wędrowały kamienie szlachetne, złoto, srebro, cynk, kość słoniowa, szylkret, perły, aromatyczna mirra i kamfora, przyprawy, sadzonki winorośli, nasiona lucerny i sezamu, rośliny lecznicze, herbata (ta głównie droga

północną przez szlaki syberyjskie, zob. rozdział 39, pt. *Szlakiem kitajki i herbacjy*), papier, szkło, porcelana, a przede wszystkim jedwab.

Historia tego najsłynniejszego chińskiego wynalazku, którego lśniąco piękno tak zafascynowało starożytnych Greków i Rzymian, że wręcz określali Chiny mianem *Seres* lub *Serica* („kraj jedwabiu”), zostaje w książce przedstawiona od jego mitycznych początków. Oto wraz z Leizi, pierwszą żoną legendarnego cesarza Huangdi (*Żółtego Cesarza*), obserwujemy, jak larwa jedwabnika buduje swój kokon. To właśnie Leizi miała ów kokon następnie rozwinąć i wynaleźć sposób przedzenia włókna jedwabnego. Jej też przypisuje się zapoczątkowanie tkactwa i haftowania tkanin. Historia ta rozpoczyna rozdział 2 książki (pt. *Od gąsienicy do brokatu*), prezentujący nie tylko tradycyjne metody produkcji jedwabiu, ale również bogactwo jego gatunków (już na początku naszej ery Chińczycy rozróżniali kilkadziesiąt gatunków jedwabiu) i szeroką gamę chińskich hieroglifów związanych z jedwabiem, jego wyrobem oraz użytkowaniem.

Ta powszechność jedwabiu w Państwie Środka, gdzie uszyte zeń stroje nosili nawet przedstawiciele ubogich warstw społeczeństwa, była podkreślana w wielu relacjach europejskich podróżników. Odnajdziemy ją również w kolejnych rozdziałach książki Aleksandry i Edwarda Kajdańskich, ukazaną poprzez bogactwo barwników używanych do farbowania jedwabiu, mnogość zdobień i haftów, zmienny na prze-

strzeni epok krój szat. Czytelnik książki wraz z jedwabiem trafi na pole bitwy pod Karrami, gdzie w 53 r. p.n.e. blask jedwabnych sztandarów armii Partów do tego stopnia oślepił rzymskich żołnierzy, że rzucili się do ucieczki. Autorzy przenoszą swoją opowieść także na cesarski dwór, gdzie konkubina Yang Yuhuan odtąńczyła dla cesarza Xuanzonga „taniec tęczowej spódnicy”, ułożywszy uprzednio misterną fryzurę i umalowałszy usta w kształt wisienki, ponieważ również wiadomości o życiu dworskim – muzyce, tańcu, teatrze – i niezbędnych w nim rekwizytach, kostiumach czy kosmetykach zostały zawarte w tej wielowątkowej książce.

Sami Autorzy podkreślają we wstępie, że „jedwab i szlaki handlowe, którymi był on dostarczany na Zachód, stanowią kanwę” (s. 9) całej narracji jako rodzaj motywu przewodniego, spinającego różnorodne informacje. Trudno się nie zgodzić z tym stwierdzeniem. Kajdańscy napisali bowiem swą historię jedwabiu na wzór misternie splecionej tkaniny, łączącej najrozmaitsze wątki, wiadomości i opowieści z dziedzin tak odległych, jak mitologia i ekonomia, które współgrają tu w zaskakujący i fascynujący sposób, podobnie jak na przestrzeni tysiącleci zaskoczenie i fascynację ludzi Wschodu i Zachodu wywoływał główny bohater książki – jedwab, wytwór skromnego nocnego motyla *Bombyx mori* z rodziny prządkowatych.

Monika Miazek-Męczyńska

Edward Kajdański, *Wspomnienia z mojej Atlantydy*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013, ss. 530¹

O tym, że Polaków rzuca po świecie, wiemy od dawna. Dzisiaj, w dobie globalizacji, to nic dziwnego. Ale dziwne przypadki kierowały – bywało – naszymi poprzednikami. Jeden z takich epizodów, mało w Polsce znany i zapoznany, przedstawia senior (ur. 1925) naszych badaczy Chin, Edward Kajdański.

W swojej ostatniej, niezwykle osobistej książce nakreślił najszerszą dostępną panoramę środowiska zwanego popularnie „harbińczykami”.

Otóż losy wielu z nich ułożyły się tak, że trafili na budowaną przez Rosję pod koniec XIX stulecia Kolej Wschodniochińską, będącą przedłużeniem transsyberyjskiej, jako inżynierowie czy robotnicy. Wiemy, jak tam trafili. Poddani cara, dobrowolnie lub nie, pracowali przy budowie i obsłudze. Ich lojalność wobec pracodawcy zawsze była – co nie dziwi – w jego oczach podejrzana. Zaskakujące jest natomiast, że wielu z nich postanowiło nie wracać... i zostać w Chinach. Swego rodzaju schronienie znaleźli na północy chińskiego cesarstwa, w krainie zwanej przez Chińczyków *Dongbei* (północny-wschód), a powszechnie znanej jako Mandżuria. To w Dongbei, w mieście Harbin, wcześniej pisanym też przez „ch” (Charbin), ukształtowała się przed I wojną światową poważna kolonia polska, szacowana

przez niektórych badaczy nawet na 7 tys. osób. Kajdański żadnych liczb nie podaje, można natomiast znaleźć u niego dane, że według spisu sprzed II wojny światowej żyło tam 1519 obywateli polskich (s. 231). Dodatkowo kilkuset Polaków zamieszkiwało wówczas w dużych portowych miastach, przede wszystkim w Szanghaju oraz Tianjinie (Tienjinie).

Autor wymienia liczbę obywateli, a więc ludzi o polskich paszportach. Ilu było wtedy Polaków w ogóle – trudno powiedzieć. Część z nich wyjechała, w kilku transzach, tuż po zakończeniu I wojny światowej, gdy ojczyzna wzywała, o czym Autor wspomina, choć się nie rozwodzi na ten temat. Kieruje się bowiem w całym tomie, będącym osobistym, rodzinnym wspomnieniem, najpierw losami ojca (którego przedstawia z niezwykłą czcią) i matki, a potem własnymi – aż do momentu opuszczenia owej „Atlantydy” w roku 1951.

Choć Kajdański podchodzi do przedmiotu swego opisu z istic inżynierską precyzją, bo też inżynierem jest z wykształcenia, książkę należy traktować jako pamiętnik, a nie pracę analityczną. Jest tak, mimo że sam Autor przyznaje, iż idąc w ślady ojca, chciał, by wszystko, co wychodzi z jego rąk, „nosiło znamiona perfekcji, o jakiej później marzyłem, chcąc mu [ojcu – B.G.] dorównać” i hojnie wykorzystuje bogate rodzinne archiwum (jak przechowane?). Powstała dzięki temu prawdziwa saga rodzinna, ułożona w egzotycznym miejscu i czasie, których dziś już nie ma, bo nie ma tam Polaków.

Ostatek naszych rodaków wyjechał bowiem z Harbinu, a raczej był zmuszony wyjechać, podczas niesławnej „rewo-

¹ Tekst recenzji pierwotnie ukazał się w miesięczniku „Nowe Książki” 2014, nr 2.

lucji kulturalnej” (1966–1976), o czym Kajdański, skoncentrowany na losach swoich i swoich bliskich, niestety już nie wspomina. Swoistą zaś klamrą tej historii byłoby wspomnienie, że po maoistowskiej „rewolucji” pozostał w Harbinie tylko jeden jedyny Polak, Leon Stokalski (ur. w Harbinie w 1916 r.), pragnący „trzymać światełko umierającej polskości”, jak sam powiadał. I on jednak opuścił to miasto 10 grudnia 1993 r., kiedy to wrócił do Polski, gdzie wkrótce zmarł.

Wcześniej wymarło w Harbinie właściwie całe polskie wychodźstwo, które w czasach swego rozkwitu zbudowało tam prawdziwą wyspę polskości. Składały się na nią m.in. tak ważne instytucje, jak Dom Polski (wcześniej Gospoda Polska), Gimnazjum Polskie im. Henryka Sienkiewicza (do którego uczęszczał Autor) oraz dwa katolickie kościoły – św. Stanisława i drewniany św. Jozafata. Ten ostatni w 1966 r. został rozebrany przez bojowych chińskich czerwono-gwardzistów, podobnie jak prawosławny sobór św. Mikołaja.

Edward Kajdański, idąc tropem swego drzewa genealogicznego, próbuje, niczym ostatni Mohikanin, zachować w pamięci dla przyszłych pokoleń świat, jaki widział, w jakim dorastał i kształtował się. Ten skrupulatny, czasami wręcz zegarmistrzowski w swej dokładności opis jest prawdziwą cnotą tego przedsięwzięcia. Niedosyt natomiast może budzić brak szerszej perspektywy czy rozważań analitycznych. Świat chiński pojawia się na tych stronach raczej jako nieco odległe i zawsze egzotyczne tło, podczas gdy „polski Harbin” był tylko maleńką enklawą w chińskim morzu.

Z nie do końca jasnych przyczyn (może dlatego, że zarówno jego matka, która jednak opuściła Harbin wraz z nim w 1951 r., jak i żona są Rosjankami) Autor nie dopowiada, iż w istocie ówczesny Harbin był miastem nade wszystko rosyjskim – z wystroju, architektury, stylu życia. Podczas gdy Polaków było tam najwyżej kilka tysięcy, ludność rosyjską w okresie szczytowego rozkwitu miasta w ramach Imperium Rosyjskiego szacowano na 100 tys. osób.

Jednak nie tylko Rosjanie czy Polacy mieszkali w Harbinie. Co chwila ze skrupulatnych notatek Kajdańskiego wylania się zarys istnej wieży Babel. Na przykład gdy pisze: „Na wschodnim krańcu Wielkiego Prospektu [główniej alei miasta – B.G.] znajdowały się cmentarze różnych wyznań – prawosławny, katolicki, protestancki, muzułmański i żydowski”. Tam, gdzie są cmentarze, są i ludzie tworzący własne społeczności. O tym, jak różnorodna była tamtejsza etniczna i kulturowa mozaika, świadczy też fakt, że w mieście, mocno przecież prowincjonalnym z punktu widzenia Chin, funkcjonowało wówczas aż 16 konsulatów (polski powstał w 1929 r.).

Chwała Autorowi, że tę swoją „Atlantyde” opisał. Nikt prócz niego nie mógłby już tego zrobić. Harbińczyków były tysiące, wśród nich dziennikarze czy pisarze, jak Teodor Parnicki, ale tylko Edward Kajdański poświęcił ich sprawie wiele swego życia i wysiłku. Dzięki niemu jedyne w swoim rodzaju polskie wychodźstwo na terenie Chin zyskało dobre i pozytywne świadectwo.

Bogdan Góralczyk